

Inna królowa

Z NINĄ ANDRYCZ rozmawia Tomasz Miłkowski

Co Panią urzekło w kolejnej królewskiej roli, którą gra Pani właśnie w stołecznym Teatrze na Woli w sztuce Esther Vilar „Królowa i Szekspir”?

– Zagrałam nieprawdopodobnie wiele królowych. Ale może najciekawsze w tym wszystkim jest to, że żadnej z nich, mówiąc językiem branżowym, „nie położyłam”. Gdyby którakolwiek z tych ról nie przyniosła należytych wpływów do kasy, to tak rasowy dyrektor jak śp. pan Arnold Szyfman i inni reżyserzy, z którymi miałam zaszczyt pracować, nigdy by nie wpadli na pomysł – bo byłby on samobójczy – żeby powierzyć mi następną rolę królowej. To tłumaczy, dlaczego te królowe tak szły jedna po drugiej... Aż mój wielki przyjaciel pan Robert Walter, niestety już nieżyjący, zapytał: No i co pani z tego przyjdzie, że zagra pani dwudziestą pierwszą wielką królową?

Wtedy postanowiła Pani zmienić emploi?

– Właśnie tak. I to mi się udało. Myślałam, że do ról królowych już nigdy nie wrócę. Ale życie okazuje się bardziej zaskakujące niż można przewidzieć i koryguje nasze własne pomysły na siebie – bo my, aktorzy, jesteśmy w Polsce jednocześnie swoimi menedżerami. Wcieliliłam się więc w Katarzynę Wielką w sztuce Józefa Hena. Pokusa była zbyt silna. Potem była królowa Małgorzata z Lancastrow w „Ryszardzie III” Szekspira, w reżyserii Macieja Prusa. Obie role bardzo polubiłam. A teraz Teatr na Woli imienia mojego wielkiego kolegi Tadeusza Łomnickiego

Kiedy nudziłam się w Polskim, pracowałam w telewizji

zwrócił się do mnie z oryginalną propozycją zagrania Elżbiety I. **Ale Elżbietę I już Pani grała – w przedstawieniu „Maria Stuart” Fryderyka Schillera.**

– Jednak obecna królowa zasadniczo różni się od poprzednich. **Czym na przykład?**

– Nie pomagają w tej roli tzw. warunki zewnętrzne, czyli mówiąc po ludzku: uroda. Gram kobietę, która jest umierająca, ciężko chora i z natury łysa. Aktorki grają takie kobiety, nakładają sobie peruczkę-łyskę. Nawet bez peruczeki już w pierwszym rzędzie widać, że to jest sztuczne. Wymyśliłam na to inny sposób. Zwykle pod peruką bandażuje się głowę. Chodzi o to, żeby do tego bandażu przypiąć perukę. Wykorzystałam to i gram z obandażowaną głową, prawie bez makijażu. Robi to niesamowite wrażenie. **Ale zapewne w roli Elżbiety zaciekały Panią nie tylko formalne walory.**

– Gram kobietę niezwykłą, jedyną w swoim rodzaju. To jest istota – proszę mnie dobrze zrozumieć – psychicznie dwupłciowa. Nie hermafrodyta, ale dwupłciowa właśnie. To znaczy, że jest ona niewyżyta kochanką.

Wiele mówi na ten temat w pierwszej odsłonie, drocząc się z przedstawicielem Kościoła, któremu opowiada o rzekomych kochankach. Biedactwo, nic z tych rzeczy nie było prawdą! Ale ta niewyżyta kochanka to zarazem genialny mąż stanu i strateg, który pobili niewyżyżoną armadę hiszpańskiego króla Filipa, najpotężniejszego katolickiego władcy. To bardzo rzadkie połączenie. Maria Stuart na przykład jest tylko kochanką. Przegrywa tron i władzę, bo namiętność jest ważniejsza. Tutaj natomiast uczucie jest na trzecim planie.

Elżbieta I decyduje się ściąć głowę kandydatowi na kochankę, ale czy do czegoś między nimi doszło, mocno w to wątpię. Myślę, że oni z Essexem tylko grali w karty po nocach. Może królowa pozwoliła się pocałować. On jej się szalenie podobał. Był młody i piękny. Umiał prawie komplementy. Mówił jej, że jest piękna, choć wcale nie była tego pewna. Ale mimo to Elżbieta nie zawahała się wydać go na potworną, haniebną śmierć – na publiczne ścięcie. Taką więc gram kobietę-monstrum i to mnie interesuje. Bo chyba takiej nie miałam w kolekcji.

W sztuce Vilar dochodzi do konfrontacji życia i teatru, a swego rodzaju medium pośredniczącym między tymi światami jest Szekspir, tak przecież zawsze Pani bliski.

– Jestem aktorką szekspirowską i podoba mi się motyw z Szekspirem, który bardzo sprytnie wymyśliła Esther Vilar. To wszystko mogło się zdarzyć naprawdę.

Elżbieta interesowała się sztuką, chodziła do teatru. Miała dobrą pamięć. Jest to prawdopodobne, że mogła się nauczyć tych kilku kwestii i cytować „Hamleta”. A sama rola Szekspira została pomyślana niezwykle ciekawie. Przez całą sztukę ten bohater nic nie mówi. **Elżbieta nie daje mu nic powiedzieć.**

– Bo Elżbieta, mimo choroby, jest fontanną energii. Dlatego nie dopuszcza go do głosu. W naszym przedstawieniu Szekspira gra, bardzo dobrze, mim Ryszard Kluge. Elżbieta chce zamówić u niego sztukę na swój temat. Tyle tylko, że ta mądra kobieta zapomina o tym, iż geniuszowi poetyckiemu nie można dyktować tematu. On tej sztuki nigdy nie napisze. Jest to kara za megalomanię.

Rola Elżbiety jest jakby dla Pani napisana.

– Bardzo mi odpowiada ta rola, ale cierpieniami Elżbiety nie zamierzam budzić wzruszenia. Esther Vilar wymyśliła, że królowa zażywa truciznę, ponieważ postanowiła sobie, że umrze tej właśnie no-

cy. To prawdopodobnie mija się z prawdą historyczną, ale nie jest to ważne – autorka ma prawo do takiej interpretacji.

Elżbieta pozostaje twarda do końca.

– Twarda. Ale są takie dwa momenty, kiedy się łamie, i to jest ważne. Bo ja zawsze – jako Nina Andrycz – współczuję mocnemu człowiekowi, jeżeli rozplacze się czy załamie nerwowo. Natomiast zawodowej plak-sie nie współczuję.

Niedawno święciliśmy razem z Panią jubileusz 65-lecia Pani obecności na scenie Teatru Polskiego...

– Nie ma pełnych 65 lat, była przecież przerwa wojenna. Obchodziłam raczej 65. rocznicę debiutu na tej scenie.

To niezwykle jubileusz.

– Rzeczwiście niezwykle. Kole-dzy mówią, że powinni mnie zgłosić do księgi Guinnessa. Bo jedna jedyna wytrzymałam na scenie, która przechodziła przez-cież różne fluktuacje, aż tak długo.

Zawsze zastanawiała mnie ta Pani nieprawdopodobna wierność scenie. Z czego ona wynikała?

– Dużo rzeczy się na to złożyło. W krótkim wywiadzie nie da się tego opisać. Nasza szkoła dramatyczna trwała, Bogu dzięki, tylko trzy lata. Te wprowadzone obecnie cztery lata, to nic innego jak pozowanie na wyższe uczelnie, na uniwersytet. Uniwersytetem aktora jest scena. Kiedy kończyłam szkołę, ówczesnej dwudziestolatce, o nieznanym nazwisku, dyrektor Szyfman złożył propozycję zaangażowania do Teatru Polskiego w 5 minut po końcowym egzaminie. Odpowiedziałam: Panie dyrektorze, ja strasznie przepra-szam – bardzo się jąkałam – ja muszę wyjechać z Warszawy. Na to on groźnie zmarszczył brwi, spojrzał na mnie jak na idiotkę, potem coś go tknęło i dodał: Pewnie jakaś sprawa sercowa. Odpowiedziałam: Tak, muszę z tego miasta wyjechać. Dobrze – odrzekł Szyfman – ale jeżeli w Wilnie pani położy Ofe-lię, wtedy nie będzie pani mogła do mnie wrócić. Jeśli zaś zagra ją dobrze, pierwszy będę o tym wiedział.

Skoro potem on mnie zaangażował do dużej, odpowiedzialnej roli, jak mogłam, będąc debiutantką, nie być mu za to wdzięczna. Zwłaszcza, że teatr pękał od sław. Wielcy aktorzy wychodzili często u nas z tacą, w podrzędnych rolach. To jeden

powód. A po wtóre trafiłam na takich reżyserów jak Leon Schiller, Aleksander Węgiér-

ko, Aleksander Zelwerowicz, czasem – gościnnie – Juliusz Osterwa, w późniejszych latach Edmund Wierciński. W Teatrze Polskim skupiła się taka klasa reżyserska, że bez przerwy mo-

Rząd traktuje kulturę jak piąte koło u wozu



Fot. Damian Ruciński

glam się uczyć. Jaki inny teatr mógłby mi to zagwarantować? Żaden. Polski był wówczas czołową sceną, liczącą się w Europie. Trwało to wiele lat. A kiedy po śmierci Szyfmana zmieniło się, to mój kolega Stanisław Jasiukiewicz, wspaniały aktor, powiedział: Czy rzuca się matkę dlatego, że chora i trochę zbrzydła? W tych gorz-szych okresach ratował mnie Teatr Telewizji.

Kiedy nudziłam się w Polskim, pracowałam w telewizji. Poza tym były jeszcze występy gościnne, recitale. Nie narzekałam na brak pracy. **Sytuacja polskiego teatru nie jest łatwa, jak całej zresztą kultury, traktowanej często przez władze niczym niechciane dziecko. Jaką widzi Pani przyszłość teatru w obecnych czasach?**

– Sprawa nie jest prosta. Nie teatr tu zawinił. Nowa sytuacja powstała po zmianie warunków społecznych, politycznych, ideologicznych. Osobiście mam jeszcze nadzieję, oby nie naiwną, że jeśli lewica

dojdzie do władzy, to pomoże kulturze bardziej niż prawica. Bo lewica ma to w swojej ideologii. Liczę też na większą pomoc ze strony biznesu. Powitalam ostatnio z radością inicjatywę Biznes Clubu – to się dopiero organizuje – który chce wesprzeć ludzi kultury. Jeśli mamy być bliżej Europy

nie możemy tego, co jest naszą najmocniejszą stroną lekceważyć. Mamy przecież dwie nagrody Nobla z poezji! Nie z chemii i nie z fizyki jądrowej.

Z chemii też mamy dwie otrzymane bardzo dawno. – Ba, ale „koły ce buło”, jak mówią na Ukrainie. Kiedyż to było. Nasz teatr, ile razy wyjeżdżał, obojętne, czy w kierunku wschodnim czy zachodnim, zawsze miał powodzenie. Jakże my możemy nasze karty koronne ukatrupić? Musi się to jakoś odrodzić. Potrzebujemy na to pieniędzy. Być może nauczmy biznesmenów sponsorować kulturę. Bo państwo na pewno nic nie da. Jeśli nie daje na zdrowie obywateli – proszę pa-

miętać, co się dzieje z pielęgniarkami, to jest obrzydliwe – to na co może liczyć kultura, która jest luksusem? **Rząd traktuje kulturę jak piąte koło u wozu.** Dlatego z taką nadzieją przyjął inicjatywę Polskiego Klubu Biznesu. Zaprosili ludzi, którzy w swojej branży nie ponieśli klęski. Znalazłam się tam na tej zasadzie, bo jako aktorka, miałam wielkie powodzenie. Z naszego środowiska był w tym gronie Adam Hanuszkiewicz. Bardzo dobrze, bo on pierwszy, nie mając jeszcze wzorców, stworzył Teatr Telewizji. W ten sposób powstała Kapituła Ludzi Sukcesu. Może coś zdziałamy.

Ludzie biznesu już przychodzą teatrowi z pomocą. Znaną jubiler pan Kruk z Poznania ufundował biżuterię do roli Elżbiety w Pani wykonaniu.

– Nie znam osobiście pana Kruka, ale jestem mu za to bardzo, bardzo wdzięczna. To jeden z tych krzepiących przykładów, który pozwala ufać, że teatrowi mimo wszystkich trudności musi się udać. **Dziękuję za rozmowę.**